Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca DO NABYCIA U KOLPORTERÓW PISM i W KIOSKACH „RUCHU" Cena 20 gr.

ECHO SPOŁECZNE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM I PRACOWNICZYM

Nr. 22 WARSZAWA — 15 LISTOPADA 1936 R. ROK IV

NUMER NINIEJSZY PRZYNOSI M. IN.: TADEUSZ ROLICKI: Dwa wielkie, radosne dni; JAN ZAWADZKI: Nie tędy droga... (z rozważań o ubezpieczeniach społecznych); A. O.: Nieprawdziwa i krzywdząca opinia; T. A.: Dość taniego optymizmu; H. W. L.: Jeden piękny żywot; JAN LORENTOWICZ: Drogi nieuniknione; JADWIGA KRAWCZYŃSKA: Postępy czy cofanie się? Sytuacja kobiety na rynku pracy; J. K.: O kursy dla pracowników ubezpieczeń społecznych; oraz: Minister Kościałkowski o pomocy zimowej; Dwa i pół miliona dzieci pozbawionych oświaty; Prawdziwy wycinek życia; Wiadomości radiowe; Odpowiedzi redakcji.

TADEUSZ ROLICKI

DWA WIELKIE RADOSNE DNI

Cała Polska jak wielka wzdłuż i wszerz w dniu 10 i 11 listopada przeżywała wielkie dni radości i zespolenia dusz w jednym wielkim okrzyku serca, płonącego miłością Ojczyzny.

11 listopada... Dzień w którym osiemnaście lat temu Józef Piłsudski otrzymał oficjalne stwierdzenie rządu dusz żołnierskich, dzień w którym teza bohaterstwa, jako zasadniczy element, weszła w polityczny program Państwa.

Osiemnaście lat mija od tego przełomowego dnia w dziejach Polski. Sięgnijmy pamięcią w dnie listopada 1918 roku, poprzedzające powrót Komendanta z Magdeburga i objęcia przez niego w Polsce rządu dusz.

Dopełniały się wówczas brzemienne krwią i zatratą — dzieje czteroletniej przeszło wojny światowej. A na ziemiach polskich — panował wszechwładnie chaos. Nie było nikogo ktoby potrafił opanować w pożodze wojennej pławiącą się sytuację wewnątrz kraju, któryby potrafił sprowadzić do wspólnego mianownika wszystkie rozbieżności i zdobyć sobie posłuch w społeczeństwie. Ze słabych zawsze rąk Rady Regencyjnej władza wymknęła się całkowicie. Nieszczęsny triumwirat: Kakowski, Lubomirski, Ostrowski nie mógł sobie poradzić z regionalnymi „republikami" coraz powstającymi, z Krakowem, gdzie działała Komisja Likwidacyjna, z Lublinem, gdzie tworzył się rząd lubelski, z Poznaniem, gdzie konserwatywno - endeckie sfery szukały okazji zagarnięcia władzy. A równocześnie w tej pierwszej dekadzie listopada nad ziemiami polskimi zbierają się czarne, złowieszcze chmury. Wschodnia Małopolska wraz ze Lwowem znalazła się w ogniu walki, którą podjęły uzbrojone austriackim sumptem oddziały ukraińskie dla oderwania Rusi Czerwonej od Polski. Od południa z poza Olzy napierają oddziały czeskie, wyciągające chciwe łapy po stare piastowskie ziemice śląskie. Na ziemiach polskich — mimo załamania armii niemieckiej na Zachodzie i zniesieniu dumnej „linii Hindenburga" — znajdują się jeszcze wielkie i doskonale zorganizowane siły „Ober - Ostu", w miastach i miasteczkach polskich poważne garnizony wojsk Beselera. A równocześnie ciągnie na Polskę zalew setek tysięcy jeńców rosyjskich, zwolnionych z obozów w głębi Niemiec i ciągnących ku wschodniej swej ojczyźnie, zalew byłych żołnierzy austriackich, w rozsypce wracających z frontów i tworzących „zielone kadry", groźne watahy, błądzące po leśnych bezdrożach dla rozboju...

Tak było w tych pierwszych dniach listopada, kiedy jawił się świt wolności. Z mgławicy i chaosu wyłania się postać w sinej kurtce legionowej. Zjawia się Piłsudski w stolicy. W tym samym momencie chaos kończy się. Wszystko co słabe, zdezorientowane, przepojone duchem separatyzmu dzielnicowego, zwątpiałe we własne siły, poddane przemijającym nastrojom chwili — ustąpiło wszystko potężnemu ośrodkowi siły i woli, rozkazu i posłuchu. Na kraj cały z Warszawy promieniować poczyna prąd woli centrum rozkazodawczego i dyspozycyjnego. Poczyna się organizacja wolnego Państwa, poczyna się gromadzenie rozproszonych sił do obrony Państwa.

Polska miała odtąd Wodza, ukochanego przez swych żołnierzy, człowieka, ogarniającego myślą swoją całość, wznoszącego się ponad partykularyzmem, stanowiącego siłę dośrodkową, wiodącą do zwycięstwa. I jak przed wojną i u jej zaczątku objął Piłsudski rząd dusz młodzieży inteligenckiej i robotniczej, którą powołał do służby zbrojnej w imię niepodległości, tak w listopadowe dni 1918 roku obejmuje rząd dusz w narodzie całym, staje się tą siłą motoryczną, która łączy i skupia, organizuje i tworzy.

Dlatego to dzień 11 listopada, dzień wskrzeszenia naszej państwowości, stał się słupem granicznym między przeszłością tragiczną, bo — pozbawiającą naród wolności, a obecną rzeczywistością, będącą odzewem walki, jaką codzień staczać musimy, by w oparciu o elementy zwycięskiego bohaterstwa — w solidnej pracy, entuzjazmem i niezmożoną energią narodu, zagwarantować byt naprawdę niepodległy, byt wielko - mocarstwowy Polski.

Dzień 11 listopada to dzień zwycięstwa ale i dzień co rok powtarzającej się przysięgi. Przysięgi człowieka twardej, codziennej pracy, który w robotniczym ubraniu, w bluzie chłopskiej, w mundurze szeregowca-żołnierza, w wyświechtanym ubraniu urzędnika, swoimi nic nie znaczącymi napozór drobnymi, codziennymi czynnościami buduje rzeczywiste podstawy potęgi Państwa. Mówił Śmigły - Rydz o bojowej gotowości armii, mówił, że każda czynność, nawet najdrobniejsza musi być wykonana z całym przejęciem się i jaknajbardziej precyzyjnie tak, jak gdyby od jej wykonania wszystko zależało.

— Gdy strzelec konny czyści konia, to powinien to zrobić tak dobrze, jak gdyby od tej czynności dobro Polski zależało. Gdy czyści rynsztunek, karmi lub poi konia, czyści karabin, to niech to robi tak, jak gdyby to było jedną z najważniejszych spraw. Gdy patrol idzie na zwiady, to musi pracować z takim przejęciem, dokładnością i oddaniem, jak gdyby zwycięstwo całej armii od tej jego pracy zależało. —

Mówił to Wódz Naczelny do armii — o armii. Lecz słowa te nie tylko wojska dotyczą. Dotyczą całego naszego społeczeństwa, każdego obywatela. Oto coroczne wyznanie człowieka pracy w dniu 11 listopada. W biurze, w fabryce, przy warsztacie, w polu, przy karabinie, przy maszynie — stajemy z głębokim przeświadczeniem, że pracujemy dla naszej wspólnej wielkiej sprawy narodowej. Stajemy na zew ducha Wielkiego Marszałka, który żyje w nas, który ostatnim tchnieniem wlał w duszę i serce Marszałka Śmigłego-Rydza posłannictwo pełnienia i dopełnienia wielkiej misji dziejowej Polski.

I kiedy w przeddzień rocznicy Niepodległości Najwyższy Zwierzchnik Sił Zbrojnych wręczał buławę marszałkowską najbliższemu i najukochańszemu żołnierzowi Komendanta, dokonywało się tym symbolicznym aktem dopełnienie Testamentu. Spadkobierca idei i woli Piłsudskiego wyniesiony na najwyższy szczebel w hierarchii zadań Państwa, pragnącego potęgi i mocy. Kontynuator prac Wielkiego Marszałka. Wódz zwycięski i człowiek czynu...

To w dniu 10 listopada 1936 zespoliła się Polska w jednym wzruszeniu, zespoliła się w radosnym zasłuchaniu w słowa Pana Prezydenta i krótkie, jasne zdania żołnierskie Marszałka Śmigłego-Rydza.

— W uznaniu odniesionych zwycięstw przy zdobywaniu niepodległości i ogromnych zasług dla narodu i państwa, jakie położył Wódz Naczelny, następca Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego... —

Tak brzmią słowa Głowy Państwa, tak w lapidarnym ujęciu wyraża się motywacja podniesienia generała Edwarda Śmigłego-Rydza do godności Marszałka Polski. W tym jednym zdaniu skoncentrowana została treść życia rycerskiego i waga wielkich zasług. W tych kilku słowach mieści się ocena, której składnikami są czyny w żołnierskiej potrzebie, zdziałane na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza.

I kiedy na chwilę spróbujemy te czyny w wojskowym ustawić ordynku w ich dumnym pochodzie od tornistra szeregowca Związku Strzeleckiego do buławy marszałkowskiej, ogarnie nas podziw i szczere uczucie dla Tego, który wolą Wielkiego Marszałka wykonywując Jego Testament objął rządy dusz w narodzie.

W tej zadumie, idącej przez lata ubiegłe, zobaczymy studenta, chłonącego wiedzę ścisłą filozofii i piękno estetycznych odczuwań sztuk pięknych, w którego duszę pada zew wskrzesiciela idei czynu. Ujrzymy smukłą postać studencką, opiętą w siny mundur pierwszych zaczątków polskiej siły zbrojnej. Ujrzymy oficera Związku Strzeleckiego we Lwowie.

W roku 1913 powierzone mu zostaje dowództwo tego okręgu i zaliczony zostaje do tych, na których Komendant liczyć będzie i na których brzemię złoży odpowiedzialność, gdy ziści się to, czym dusze młodzieńcze zapalił: nadejdzie moment czynu.

I nadeszły dni czynu. III batalion kadrowy Legionów, I pułk Legionów — dowódca Śmigły-Rydz. Od końca 1914 r. epopea Legionów, cała historia walk legionowych, wiodąca od południowych krańców Królestwa aż po Kresy Wschodnie, po Styr i Stochód, po krwawe boje 1915 i 1916 roku, po bitwy krwawe i zwycięskie — cała ta epopea związana jest z imieniem dowódcy I p. p. Leg. Już wtedy jesienią 1915, gdy Józef Piłsudski od swojej Brygady odchodził, przekazał — jakby w genialnym przeczuciu — dowództwo Śmigłemu-Rydzowi, rozkazując legionistom:

— W wypróbowane ręce oddaję komendę nad wami, wierząc, że otoczycie go tym samym zaufaniem i miłością, z jaką odnosiliście się do mnie. —

Przychodzą lata 1917 i 1918. Kryzys przysięgowy, Beniaminów, Szczypiorna, okres, którego symbolem jest ponura cela magdeburskiej twierdzy. I wtedy Śmigły staje się istotnym „rzecznikiem uczuć i wyrazicielem zdania" Józefa Piłsudskiego. Wtedy gdy nie stało w Polsce po raz pierwszy Komendanta — wypróbowane ręce Śmigłego po raz pierwszy zastępowały Nieobecnego.

Z dniem 11 listopada 1918 r. Śmigły-Rydz rozpoczyna nową kartę swojego życia. Tu zaczyna się jego historyczna misja

(Dokończenie ze strony 2-ej)

Prawo walki o byt jest prawem istnienia życia w świecie

J. Piłsudski.

JAN ZAWADZKI

NIE TĘDY DROGA...

(Z rozważań o ubezpieczeniach społecznych)

(dokończenie)

W pierwszej części niniejszego artykułu naszkicowałem w ogólnym zarysie stan ubez. społ. w Polsce, którego nie można ocenić jako dobry i nie potrzebujący żadnej reformy. Przeciwnie, twierdzę, że ubezp. społ. u nas wymagają jeszcze dalszej racjonalnej reformy, lecz nie zasadniczej, idzie o to, by z jednej strony usunąć pewne „przerosty", przejawiające się choćby np. w strukturze ewidencji uprawnień emerytalnych, w strukturze rent itp., z drugiej znów strony należy usunąć niedorozwój pewnych działów ubezp. (np. chorobowego), by ubezpieczenie nie stało się zaprzeczeniem własnej treści, nie dając należytej korzyści ubezpieczonym. Nie idzie więc o zmianę celów, jakim służyć mają ubezp. społ., bo te cele prawidłowo zostały naogół wytknięte, lecz prawie wyłącznie o pewne zmiany metod działania. —

Innego jednak jest zdania p. Henryk Greniewski, autor umieszczonego w Nr. 10 „Przeglądu ubezp. społ.", artykułu p. t. „Zagadnienia zasadnicze ubezp. społ."

Chociaż autor wym. artykułu na wstępie swych rozważań mówi o ewolucji celów urządzeń społecznych, a więc w zasadzie jest zwolennikiem, zdawałoby się stopniowego rozwoju ubezp. społ., treść jednak artykułu jest tak dalece rewolucyjna, że sam tytuł artykułu jest niewłaściwy i brzmieć powinien „likwidacja ubezpieczeń społecznych". — Wiemy wszyscy dobrze, że ubezpieczenia społeczne są to organizacje przymusowe przezorności społ., oparte na wzajemnej, planowej i zbiorowej samopomocy zainteresowanych pracowników najemnych, przy czym środki na wypłatę świadczeń ubezpieczonych i pracodawców, obliczonych na podstawie metod techniki ubezpieczeniowej, Autor zastępuje system samopomocy, tak charakterystyczny dla ubezpieczeń społ., przez system pomocy państwa na rzecz warstw pracowników najemnych, przy czym przewiduje specjalny podatek nałożony na te cele, opłacany przez warstwy niezainteresowane ubezpieczeniem, obok możliwości istnienia także pewnych opłat w formie „tradycyjnej postaci składek, obciążających fundusz płac".

Niezbyt więc jasno stawia autor kwestję pomocy państwa, zwłaszcza, że obok specjalnego podatku, przewiduje również, iż państwo pokrywać będzie także i ewentualne deficyty, więc znów nowe podatki!

Dr. Greniewski, zdaje się, zapominać o tych faktach, że już dawniej powstawały projekty, zmierzające do zlikwidowania instytucyj ubezp. społ. i zastąpienia tych ubezpieczeń innemi urządzeniami społecznymi systemem zaopatrzeń państwowych, lub systemem przymusowej oszczędności.

Liczne konferencje Międzynarodowego Biura Pracy, jak również ostatnie zjazdy rzeczoznawców ubezp. społ. wypowiedziały się już niejednokrotnie, że społeczno - polityczne zadania i cele, które mają urzeczywistniać ubezpieczenia społ., nie mogłyby być rozwiązane w sposób równie skuteczny przez wprowadzenie systemu zaopatrzeń, bądź przymusowej oszczędności. Olbrzymi zresztą rozwój ubezpieczeń społ. we wszystkich cywilizowanych państwach, zwłaszcza w czasach powojennych, najlepiej i najwymowniej świadczy o żywotności idei i celów tych ubezpieczeń.

Nie zastąpiła ubezp. społ. ani opieka społeczna i to nawet w bogatych społeczeństwach, ponieważ świadczenia jej są niższe niż świadczenia przez ubezp. społ. udzielane, i uzyskanie tej pomocy uzależnione jest częstokroć od formalności, upokarzających petenta. Nie spełniły również tych zadań, jakich spodziewano się po nich, i zaopatrzenia państwowe (renty t. zwane, „bezskładkowe"), których uzyskanie wymaga zazwyczaj surowego badania niezamożności petenta (jak w opiece społecznej) i zależne bywa od tej okoliczności, czy sumy budżetowe, na ten cel przeznaczone, są wystarczające. Zmianę systemu rent bezskładkowych na system ubezp. społ. (Belgja, Anglja i t. p.) spowodowały właśnie trudności dostarczenia przez państwo odpowiednich środków dla udzielenia wystarczających rent. Jeśli więc zrezygnowały, z systemu zaopatrzeń tak zamożne społeczeństwa (p. wyżej), jakżeż można, ze względów właśnie gospodarczych w kraju tak biednym jak Polska, żądać zastąpienia systemu, wypróbowanego już ubezp. społ., systemem zaopatrzeń i to w tak szerokiej skali, jak proponuje Dr. Greniewski.

Nierealność i fantastyczność projektu D-ra Greniewskiego wynika jednak nie tylko z przesłanek natury gospodarczej. Proponowany przez autora powszechny „system zaopatrzeń" ma gwarantować pomoc państwa wszystkim obywatelom, utrzymującym się z pracy, w przypadkach „niezawinionej utraty pracy". Wzorując się na znanym projekcie profesora Krzeczkowskiego, autor jest zwolennikiem scalenia ryzyk, jakim podlegają pracownicy, w jedno ryzyko kombinowane fizjologiczno - gospodarcze. I dziwić się tylko można i należy, jak może autor matematyk ubezpieczeniowy, zapominać o tem, że np. choroba z punktu widzenia techniki ubezpieczeniowej, musi być traktowana inaczej niż inwalidztwo, starość, a tem bardziej bezrobocie, że każde ubezpieczenie obejmować musi pewne tylko ryzyka, i trudno wyobrazić wprost sobie, by taki system powszechny zaopatrzeń, jaki proponuje autor, mógł być oparty na kalkulacji matematycznej. Dr. Greniewski nie daje na to odpowiedzi i wspomina jedynie, że „celowo przemilcza wysoce skomplikowane zagadnienia aktuarialne, związane z koncepcją powszechnego systemu zaopatrzeń". Trudność techniczna stworzenia takiego powszechnego systemu zaopatrzeń potęguje jeszcze i ta okoliczność, że nie wszyscy, mający prawo do zabezpieczenia ze strony państwa, będą podlegali identycznym ryzykom (np. emeryt pracujący nie potrzebuje ani zasiłku w razie bezrobocia, ani renty inwalidzkiej i t. p.). System zaopatrzeń wreszcie proponowany przez D-ra Greniewskiego w tak szerokim zakresie nie był nigdzie dotychczas urzeczywistniony ani projektowany. Wprowadzone bowiem w kilku państwach zaopatrzenia to przeważnie zaopatrzenia starcze ((inwalidztwo spotyka się b. rzadko!). Gdyby więc koncepcja taka była realna i dobra, niezawodnie byłaby już urzeczywistniona, wzgl. projektowana, co jednak do dnia dzisiejszego nie nastąpiło i rzeczywiście trzeba przyznać, że projekt D-ra Greniewskiego jest pierwszym tego rodzaju fantastycznym projektem i prawdopodobnie również ostatnim.

Autor, zajmując stanowisko i patrząc na świat oczyma Heraklita, filozofa starożytnej Grecji, że wszystko jest płynne (parta rej) jest wrogiem wszelkiej stabilizacji i praw nabytych, różniczkuje wysokość świadczeń terytorialnie i branżowo, uzależniając je od każdorazowego poziomu dochodu społecznego, uzależnia również stopę opłat (podatków) na ten cel nakładanych od wahań gospodarczo - koniunkturalnych. „Powszechny system zaopatrzeń" ma być zarządzony przez organa samorządowe, lecz tylko w dziedzinie świadczeniowej (tylko świadczenia pieniężne!), świadczenia zaś rzeczowe mają być udzielane przez inne organizacje; działalność finansowa systemu nie należy do kompetencji organów systemu, a lokaty majątkowe „nie muszą stanowić własności systemu". Autor rozbija więc agendy systemu i nie stwarza jednolitej samodzielnej organizacji, co jest właśnie jedną z licznych dodatnich cech, charakteryzujących likwidowane przez autora ubezpieczenia społeczne i co działa tak wychowawczo na zainteresowane warstwy pracowników najemnych.

Punktem wyjścia krytyki przez autora ubezp. społ. są tak zwane „przerosty" tych ubezpieczeń w Polsce: wadliwy system ewidencji uprawnień ubezpieczonych, system wymiaru świadczeń emerytalnych, podział składki i t. p. Tak, są rzeczywiście pewne wadliwości techniczne w naszych ubezp. społecznych, o czem zresztą wyżej wspomniałem, ale sytuacja ubezp. społ. z tego powodu nie jest tak tragiczna, aby dążyć do zlikwidowania ich, można te „bolączki" ubezpieczeń usunąć łatwo, bezboleśnie dla zainteresowanych i dziwić się należy, że autor, będąc wyższym urzędnikiem Ministerstwa Opieki Społecznej, w tym kierunku nic nie robi i nic nie zdziałał dotychczas. Można przecież tak łatwo i szybko dekretem, co się tak często obecnie u nas praktykuje, zmienić i uprościć system prowadzenia ewidencji oraz ściągnięcia składek i t. p.

Kończąc uwagi powyższe muszę stwierdzić, że nie tędy prowadzi droga, wiodąca do uzdrowienia ubezp. społ. w Polsce i zarówno dekrety, obniżające wadliwości finansowe ubezp. społ. jak i artykuły, będące wyrazem na szczęście jedynie osobistych poglądów urzędników ministerialnych, nie mogą przyczynić się do pomyślnego rozwoju ubezpieczeń społ. w Polsce.

Jan Zawadzki.

Dwa wielkie radosne dni

(Dokończenie ze strony 1-ej)

wodza armii. Widziały wielkie grupy operacyjne Śmigłego — i Kowel, i Wilno, i modrą wstęgę Dźwiny, Inflanty Polskie, potężne mury Dyneburga, stojące przed armią polską otworem, zwycięski pochód z nad Wieprza, wyprawę kijowską, i wreszcie — Niemen, krańce Rzeczypospolitej.

Tak walczył orężem o Polskę do dnia, w którym pożoga wojenna ustąpiła erze pokoju i okresowi pracy nad skupieniem sił narodu do przyszłej obrony Państwa. Odtąd skupiona i wytężona praca Inspektora Armii staje się udziałem wodza.

W maju 1935 roku gdy Naród żegnał doczesne szczątki Pierwszego Marszałka Polski, spełniło się to, co Józef Piłsudski przykazał już w drugim roku wojny: w „wypróbowane ręce" Śmigłego-Rydza złożył Pan Prezydent pieczę nad naszą siłą zbrojną.

W dniu 10 listopada 1936 kiedy w rękę ujął Śmigły marszałkowską buławę, ujął nie tylko widomy znak władzy nad wojskiem. Ta buława w ręku marszałka Śmigłego-Rydza jest symbolem trwania Epoki Józefa Piłsudskiego, jest widomym znakiem objęcia całości spuścizny Odnowiciela Państwa. Rydz-Śmigły objął rządy dusz w narodzie.

W te dwa dni radosne listopadowe szły za nami wszędzie słowa nowego Marszałka o długu ,który ma dopiero do spłacenia. Proste, żołnierskie słowa w potędze wyrazu skupiły wszystkie serca przy Naczelnym Wodzu z gorącym postanowieniem, że w pracy swej wielkiej, niestrudzonej mieć będzie za sobą cały Naród.

Dwa wielkie, radosne dni przeżyła Polska. Dzień 10 listopada — dzień potęgi jednoczącego ducha narodowego. Dzień 11 listopada — rocznica Niepodległości, dzień triumfu armii polskiej, coraz świetniejszej i coraz wspanialszej, coraz potężniejszej i coraz bardziej kochanej.

Tadeusz Rolicki

Nieprawdziwa i krzywdząca opinia

W szeregu pism zamieszczono notatkę o ilości pracowników we wszystkich instytucjach ubezpieczeń społecznych, zarzucając tym instytucjom, że mają za dużo pracowników administracyjnych.

Już nie po raz pierwszy pracownicy ci doznają krzywd: wciąż wskazuje się na nich, jak na jakąś armię darmozjadów, którzy nic nie mają do roboty, reprezentują tylko „molocha biurokracji", który zbędnymi formalnościami zatruwa życie obywateli.

Mamy tu do czynienia z krzywdą podwójną: pracowników, którzy w najgorszych warunkach materialnych uginają się pod ciężarami nadmiernej pracy — i krzywdą instytucji, do której zaufanie podrywa się wciąż legendami o „przerostach administracyjnych".

W atakach tych powtarzane jest uporczywe zestawienie ilości lekarzy z ilością pracowników administracyjnych we wszystkich 65-ciu Ubezpieczalniach Społecznych. Wciąż czytamy: 3.800 lekarzy i 11.000 pracowników administracyjnych! I stąd wniosek: na każdego lekarza przypada po paru urzędników! Wniosek — oparty na zupełnej nieznajomości pracy Ubezpieczalni Społecznej.

Ubezpieczenia nie zajmują się wyłącznie lecznictwem, o czym się wciąż w takich zestawieniach zapomina. Właśnie w celowych reorganizacjach, przeprowadzonych ostatnimi laty, chodziło o to, żeby zarówno ubezpieczeni pracownicy, jak i pracodawcy we wszystkich sprawach, dotyczących składek ubezpieczeniowych i świadczeń, mieli do czynienia z jedną instytucją, t. j. z najbliższą Ubezpieczalnią Społeczną nie zaś z poszczególnymi działami ubezpieczenia. Ubezpieczalnia Społeczna ściąga tedy składki nie tylko z tytułu ubezpieczenia na wypadek choroby i załatwia świadczenia nie tylko z tytułu tego ubezpieczenia. Większość pracowników Ubezpieczalni nie ma nic wspólnego z lecznictwem, to też bynajmniej na jednego lekarza nie przypada „paru urzędników".

Ubezpieczalnie Społeczne prowadzą ewidencję wszystkich rodzajów ubezpieczenia. Ubezpieczony zwraca się w sprawie świadczeń, zasiłków, zaopatrzeń, rent — do Ubezpieczalni, w której owi „zbędni" urzędnicy muszą wszelkie te roszczenia załatwić.

Niezależnie od pracowników, zatrudnionych w tych działach, pewna ich ilość, również z lecznictwem nie mająca nic wspólnego, zajęta jest czynnościami, należącymi do administracji nieruchomości.

Tak więc w Ubezpieczalniach Społecznych, które obsługują miliony ubezpieczonych, spełniane są poza działalnością leczniczą najróżniejsze czynności administracyjne.

Ci, którzy uważają, że w Ubezpieczalniach Społecznych, jest za dużo pracowników administracyjnych, niech przyjrzą się bliżej ich żmudnej pracy. Nie będą się wówczas domagali dalszych redukcyj, t. j. wyrzucania na bruk ludzi ciężko pracujących za mizerne wynagrodzenia.

Nic boleśniejszego, niż zarzucanie instytucji społecznej, że utrzymuje jakiś zastęp „darmozjadów". Nic bardziej nie krzywdzi tych pracowników i instytucyj samych.

Bezmyślne zestawienia cyfrowe powinny nareszcie ustać. Bardzo łatwo oburzyć nieuświadomionego czytelnika, któremu się powie: lekarzy tyle a tyle, a urzędników administracyjnych parę razy więcej, pominąwszy milczeniem zakres pracy tych urzędników.

Oto jeden z wielu przykładów, jak z nieznajomości rzeczy tworzą się najfałszywsze wyobrażenia o działalności ubezpieczeń społecznych.

Minister Kościałkowski o pomocy zimowej

(Przemówienie radiowe)

11 listopada w oczach wszystkich, pamiętających ten dzień obywateli stanie jaskrawo obraz Polski ówczesnej poszarpanej, zniszczonej, wynędzniałej i zdeptanej przez okupantów. Przeciętnemu obywatelowi wydawali się okupanci taką potęgą i tak wielką siłą zbrojną i administracyjną, a siły potajemne Polski nadchodzącej zaklęte w tajemniczych szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej tak bardzo niewystarczającymi do walki z okupantami i osiągnięcia zwycięstwa. I pamiętają ci sami obywatele ten cud Wolności Słońca, który zajaśniał im w niespełna dwie doby od powrotu do Polski Komendanta Józefa Piłsudskiego z Magdeburskiej twierdzy. Poprzez zorganizowane szeregi Peowiaków, poprzez Legionistów, poprzez rozsianych w terenie oficerów i szeregowych formacyj wschodnich, tchnął Komendant Piłsudski w Naród, — świadomość konieczności walki o Niepodległość i wiarę w zwycięstwo.

Od tej chwili minęło osiemnaście lat. Z chaosu, nicości, powstała i rozrosła się nasza państwowa siła i moc. Wyrabialiśmy orężem granice naszego państwowego domu; budujemy domy państwowe, w których wykuwa się dzień po dniu myśl twórcza i twórcze działanie dla Narodu i Państwa; budujemy domy prywatne, w których w polskiej rodzinie kształtują się i wykuwają charaktery przyszłych polskich pokoleń; budujemy szkoły polskie, w których kształcimy nietylko charaktery, ale i umysły przyszłych obywateli budujemy drogi i mosty; coraz liczniej dymią nasze fabryczne kominy, coraz wydajniej złocą się łany naszych zbóż, a poprzez polskie morze wypływają na świat szeroki polskie okręty.

Ogrom prac dokonanych umysł ogarnąć nie może, ogrom zdobytych nowych bastionów naszej polskiej mocarstwowej potęgi wzrok nie obejmuje. Świadomość tego jednak żyje w nas i w wyniku prac naszych nieoczekiwane daje rezultaty. Świadomość przebytych zwycięsko walk, spojrzenie wstecz, dać nam winno wiarę radosną w nadchodzącą przyszłość.

Gospodarczy kryzys światowy i kryzys rodzimy zahamowały nasz marsz pośpieszny ku coraz lepszemu jutru. Stanęły przed nami nowe nieoczekiwane trudności. W walce z nimi kroczymy jednak zwycięsko naprzód.

Powstrzymany przez kryzys rozwój naszego przemysłu spowodował, że setki tysięcy uprzednio zatrudnionych robotników pozostaje bez pracy.

W ciągu wiosny, lata i jesieni wytężona akcja Rządu dała zatrudnienie dwustu kilkudziesięciu tysiącom bezrobotnych. Drugie tyle pozostało jednak bez pracy. Rząd dając tym ludziom na robotach inwestycyjnych i publicznych pracę, dał im zarazem chleb — ogółowi zaś społeczeństwa nowe wartości gospodarcze. Warunki techniczne i atmosferyczne, jak również brak środków pieniężnych na ten cel w budżecie Państwa uniemożliwiają utrzymanie tej masy na robotach publicznych. Nadciąga surowa zima, a w Polsce stoi bezbronna bo bezrobotna masa 600 tysięcy ludzi obarczonych rodzinami. Czyni to około 2 milionów osób pozbawionych codziennego chleba, nie posiadających już żadnych rezerw, a więc skazanych na cierpienie w głodzie i chłodzie wśród fatalnych warunków zdrowotnych. Ludzie ci, to tacy sami obywatele jak my wszyscy, mający te same prawa i obowiązki wobec społeczeństwa, chcący pracy a przez nią chleba, a jeśli chleb pracę poprzedzi, to będzie przez nich pracą zapłaconych.

Rząd uczynił swój maksymalny wysiłek dania zasiłku zimowego około 200 tysiącom rodzin, czyli trzeciej części tych, których nadchodząca zima głodem dotknąć może. Czterysta tysięcy pozostałych rodzin, czyli około 1.200 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci musi otrzymać ratunek od społeczeństwa. Ratunek ten musi przyjść w postaci ofiar pieniężnych, żywności, odzieży, węgla i innych środków do życia, a także w formie bezinteresownej współpracy tysięcy ludzi nad zorganizowaniem, zebraniem i podziałem zgromadzonych pomocy. Stworzyliśmy do tej akcji Ogólnopolski Obywatelski Komitet Pomocy Bezrobotnym pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Chcemy na tej drodze umożliwić każdemu obywatelowi spełnienie jego obowiązków, bo obowiązkiem a nie łaską musi być wysiłek, ratujący zagrożoną w swoim bycie i życiu chociażby drobną część naszego Narodu.

Kto dziś bierze udział w akcji Pomocy Zimowej — ten pomaga Państwu. W nadchodzącym okresie zasobniejsze grupy ludności muszą podzielić się chlebem powszednim z olbrzymią rzeszą głodnych i nagich. Dlatego podkreślam raz jeszcze z całą stanowczością w całej tej akcji element czynu państwowego, a nie moment daru; obowiązek obywatela, a nie jego łaskę...

Obywatele! Korzystam z Radja i jako przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Społecznego odwołuję się do każdego z was, bez różnicy waszych przekonań, waszego politycznego oblicza, odwołuję się do waszego poczucia odpowiedzialności państwowej, do waszych serc, sumienia i rozumu. Część waszego chleba jest potrzebna ludziom pozbawionym pracy — aby mogli oni pracy tej doczekać i przy niej stanąć.

Wasza uczciwa, szlachetna i mądra pomoc zdolna jest zamienić grożący kataklizm nędzy zimowej wśród rodzin bezrobotnych — w braterską wiosnę lepszego jutra.

Wierzę, że wspólnym wysiłkiem i całą energią na jaką nas wspólnie stać zwalczymy groźną klęskę zimowego bezrobocia i nie dopuścimy do groźniejszych jszcze skutków na wiosnę głodowania bezrobotnych w zimie.

11-go listopada, w dniu święta narodowego, rozpoczynamy zbiórkę pieniężną na Pomoc Zimową. W akcji tej nie może zbraknąć nikogo, w zbiorowym wysiłku dnia tego, pomni na wspólny wysiłek z przed laty, wykazać musimy niezmienną naszą gotowość do walki z każdym wrogiem, który nam wszystkim lub części zbiorowości naszej zagraża. W nadchodzącej zimie najstraszliwszym wrogiem części naszych obywateli jest głód i chłód.

1.000.000 zł. na pomoc zimową

Jak się dowiadujemy suma miliona złotych, zadeklarowana przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych na akcję pomocy zimowej, wydana będzie ze specjalnego funduszu pożyczkowo-subwencyjnego, przeznaczonego (art. 239 ustawy o ubezpieczeniu społecznym) na udzielanie subwencji poszczególnym Ubezpieczalniom.

Ponieważ Ubezpieczalnie Społeczne udzielają świadczeń tylko ubezpieczonym i członkom ich rodzin przeto suma miliona złotych, zadeklarowana przez ZUS, zużyta będzie przez Ogólno - polski Komitet Pomocy Zimowej dla tych bezrobotnych, którzy ze świadczeń ubezpieczenia na wypadek choroby i braku pracy korzystać nie mogą.

Pozbawienie ich pomocy w najcięższych miesiącach zimowych grozi wzrostem chorób po powrocie do pracy, a tym samym zwiększeniem świadczeń ubezpieczenia chorobowego, a nawet trwałą utratą zdolności do pracy, co w konsekwencji wywołałoby przedwczesne powstawanie prawa do rent inwalidzkich.

Pomoc, udzielona obecnie przez Ogólnopolski Komitet pomocy zimowej przyczyni się w poważnym stopniu do nieobniżenia zdrowotności przez bezrobotnych w miesiącach zimowych a zatym zbiega się z celami i zadaniami ubezpieczeń społecznych, między którymi najważniejsze miejsce zajmuje ochrona zdolności do pracy.

Czechosłowacja tworzy kliniki chorób zawodowych

Czechosłowacki minister zdrowia w przemówieniu, wygłoszonym w swoim czasie, przedstawił projekt utworzenia, wspólnie z ministerstwem oświaty, klinik chorób zawodowych przy uniwersytetach czechosłowackich. Warto przy tej sposobności przypomnieć, że kliniki chorób zawodowych i katedry higieny pracy istnieją oddawna w wielu państwach, jak np. we Włoszech, Niemczech, Rosji i t. d. W Polsce, niestety, nie mamy przy żadnym z 5 uniwersytetów, ani katedry, ani nawet docentury higieny pracy, ani też wreszcie kliniki chorób zawodowych. Brak takiej placówki w państwie, opierającej swój byt na pracy obywateli, jest dotkliwą luką.

DOŚĆ TANIEGO OPTYMIZMU!

Ostatnimi czasy w naszej publicystyce daje się zauważyć pewien dodatni zwrot w kierunku bardziej krytycznej oceny naszej rzeczywistości społecznej. W poważniejszej prasie, w licznych wydawnictwach i ankietach gromadzi się materiał, dobrze oświetlający naszą społeczno-gospodarczą sytuację. Zaczynamy jakby wyzwalać się z najtańszego optymizmu, który nas dezorientował i zasłaniał nam prawdę. Mamy skłonność do widzenia każdej rzeczy, każdej sprawy społecznej tak, jak ją widzieć pragniemy. Stąd tyle u nas fikcji, tyle wyobrażeń i projektów nierealnych. Ten tani optymizm jakoś słabnie i trzeba to uważać za objaw bardzo zdrowy.

Nasze położenie społeczno-gospodarcze jest niewymownie ciężkie, nasz poziom kulturalny i cywilizacyjny w zestawieniu z innymi państwami cywilizowanego świata — jest żałosny.

Rozporządzamy już obfitym materiałem, który ułatwia nam rzetelną ocenę niniejszej rzeczywistości społecznej w Polsce. Wydawnictwa Instytutu Spraw Społecznych i Instytutu Gospodarstwa Społecznego zawierają materiał w tej mierze potrzebny, zgromadzony drogą licznych ankiet, jakie objęły już teren całego państwa. Znajdziemy tu najbardziej wymowne dane o dzisiejszych warunkach życia świata pracowniczego w mieście i na wsi. Dorobek wydawniczy tych dwóch instytucji jest b. poważny. Uprzytamnia nam, jak dziś żyją, raczej — jak wegetują wielomilionowe masy pracujących. Niedawno ukazała się broszura J. Wasowskiego, wydana przez „Echo Społeczne" p. t. „Może chcecie poznać prawdę"... Jest to wstrząsający zbiór dokumentów o krańcach niedoli ludzkiej w latach gospodarczego kryzysu. Dokumenty te świadczą, że nie ustaliliśmy w Polsce racjonalnej hierarchii potrzeb społecznych, że potrzeby najważniejsze są niemal lekceważone i że tolerujemy u nas takie dno nędzy i pohańbienia, jakie w Europie nie jest znane, mimo, że cała objęta jest działaniem kryzysu.

O tem, jak wygląda nasze życie społeczne w porównaniu z innymi państwami Europy pouczają nas liczne zestawienia cyfrowe, w najnowszym wydaniu „Małego Rocznika Statystycznego". Wydawnictwo to zasługuje na rozpowszechnienie jaknajwiększe. Uświadamia nas o tej smutnej prawdzie, że w wielu dziedzinach życia społecznego stoimy na ostatnim miejscu w Europie. Leczy nas z megalomanii. Zaprzecza bezmyślnemu optymizmowi. Nasuwa wniosek jedynie rozumny, że taki stan rzeczy wymaga wysiłków ogromnych, jeśli się mamy dźwignąć na poziom europejski.

Tak samo na naszą niekorzyść przemawiają wszelkie zestawienia tych pozycji, które dotyczą działalności i zasięgu opieki i pomocy społecznej. Oto jeden z przykładów najbardziej wymownych: zasięg ubezpieczeń społecznych u nas i w Niemczech. Różnica olbrzymia, wobec której legenda o „przeroście" ubezpieczeń społecznych u nas jest pozbawiona wszelkich podstaw. W Niemczech ubezpieczenia społeczne obejmują cały świat pracy najemnej. Na 65 milionów ludności Niemcy mają ubezpieczonych w ubezpieczeniu na wypadek choroby 20,8 milionów, u nas zaś na 33 miliony ludności — 2 miliony ubezpieczonych w tym samym ubezpieczeniu. Proszę sobie uprzytomnić tę różnicę. tam — trzecia część ludności, u nas 16-ta część! Na świadczenia chorobowe niemieckie ubezpieczenia społeczne wydały w roku 1935 — 1.349 tys. marek, (około 2.700 milionów złotych), u nas w tym samym roku — 80 milionów złotych, t. j. $^{1}/_{83}$ tego co w Niemczech! Wystarczy to jedno choćby zestawienie by zrozumieć, jak dalecy jesteśmy od tego stopnia rozwoju instytucji ubezpieczeń społecznych, który zaczyna w pełni odpowiadać swemu zadaniu, tak jak to widzimy w Niemczech. A to jest różnica pierwszorzędnej wagi społecznej: niedorozwój takiej instytucji, jak ubezpieczenia społeczne, stanowiące jeden z podstawowych regulatorów w podziale dochodu społecznego, świadczy o niedorozwoju społecznym wogóle, o społecznym zapóźnieniu w realizacji tych reform i tych zdobyczy socjalnych, które życie społeczne innych państw dźwignęły na poziom tak nieporównanie od naszego wyższy.

T. A.

JEDEN PIĘKNY ŻYWOT

Chcąc opisać wyczerpująco życie ś. p. Ignacego Daszyńskiego, trzebaby właściwie odtworzyć półwiekowe dzieje walk społecznych i politycznych, naprzód w zaborze austrjackim, a później dzieje polskie pierwszych dwóch dziesięcioleci po odzyskaniu Niepodległości. Tak bowiem żywo i ściśle postać Ignacego Daszyńskiego z dziejami temi jest zespolona, że stanowi dziejów tych nieodłączną cząstkę. Uczynić to będą mogli historycy w przyszłości, my zaś, współcześni po świeżym zgonie Ignacego Daszyńskiego ograniczyć się musimy jedynie do naszkicowania sylwetki tej wybitnej i promiennej osobistości.

Cechą prawdziwie ideowego człowieka, traktującego swe życie jako służbę społeczną, jest pogarda dla korzyści osobistych, zbytków i bogactwa, jest także wysoce rozwinięta zdolność i gotowość do wyrzekania się dóbr materialnych na rzecz wartości idealnej natury, zasad, zadań i celów, związanych wyłącznie z umiłowaniem dobrem ogólnem. Ubóstwo, a nawet przez długie lata zwyczajna nędza, nie opuszczała Ignacego Daszyńskiego w jego ofiarnej pracy, walce i poświęceniu, mając nadto przez długi czas przeciwko sobie wszystkie potęgi ziemskie, które czyhały na wyczerpanie jego sił, na załamanie się wewnętrzne i jego zgubę, za sobą zaś mając tylko maleńką początkowo garstkę entuzjastów idei.

Dla plastyczności obrazu warto przytoczyć kilka słów własnych Ignacego Daszyńskiego, zaczerpniętych z jego pamiętników, ażeby mieć dokładne wyobrażenie, jakie znosić musiał dolegliwości losu przyszły wielki trybun światowej sławy, wódz socjalizmu polskiego i mąż stanu w niepodległem Państwie Polskiem: „egzystencja moja opierała się na dwóch lekcjach, które miałem na jednem podwórku przy ulicy Sykstuskiej. Uczyłem dwoje dzieci u biednego majstra szewskiego, a troje u biednego majstra stolarskiego na przeciwko. U szewców mieszkałem i miałem 6 guldenów, u stolarzy tyleż samo i kawę po południu. Sypiałem z czterema czeladnikami w jednej izbie, wysypanej białym piaskiem łyczakowskim, wedle mody ubogich ludzi we Lwowie i starałem się jedynie mieć łóżko koło okna... Ściany były mocno wilgotne, ale śpiąc przy oknie rozwartem przyjmowałem trochę świeżego powietrza. Zacząłem moje samodzielne życie w nędzy i niedostatku, które mnie latami całemi nie opuszczały". „Nie zapomnę nigdy przykrej sceny, która mnie raz w zimie spotkała, kiedym na wózku przetłukł się przeszło 20 mil na mrozie. Dotarłem do Lwowa i miałem się zobaczyć z moim przyjacielem w gimnazjum. Ubogie zniszczone ubranie moje dodało tercjanowi gimnazjalnemu odwagi, że mnie jak rzezimieszka z korytarza gimnazjalnego wypędził i drzwi przede mną zamknął. Rozumiałem te psie uczucia różnych służących i poznawałem świat z jego rzetelnej strony. Bo też przyznać dziś muszę, że troska o garderobę mogła zajmować tylko bardzo ograniczone miejsce w moich myślach i — budżecie. Sprawy te odbywały się dość prosto. Z guldenem w ręku szedłem na żydowską tandetę do pierwszego lepszego sklepu ze starem ubraniem. Tu zostawiałem moje jeszcze starsze suknie, dodawałem guldena i wychodziłem całkiem „świeżo" przyodziany, w dziwnym nieraz stroju, znoszonym może nie mniej od pierwszego".

Od zarania swojej pracy publicznej, Ignacy Daszyński musiał wyrabiać w sobie i kształcić odporność nie tylko na przeciwności losu, ale także na prześladowania, świadomie i celowo przeciwko niemu organizowane. Ten hart niezłomny stawał się warunkiem jego wzrastającego posłuchu, jego coraz większych triumfów i zwycięstw. Będąc pionierem myśli nowatorskiej i socjalistycznej w ówczesnej zatęchłej Galicji, przesiąkniętej serwilizmem wobec zaborców i pogrążonej w straszliwej nędzy i ciemnocie mas, — Ignacy Daszyński siłą rzeczy miał z początku wszystkich przeciwko sobie: zarówno biurokrację cesarsko-królewską, jak wszechwładne i ugodowe możnowładztwo, kler i bigoterię, policję, cenzorów i prasę. Kilka dziesiątków lat temu w tym zapleśniałym Ciemnogrodzie każda myśl śmiała była zamachem na uświęcony porządek rzeczy, każde marzenie o niepodległości Polski było profanacją patriotyzmu, pojmowanego, przez sfery pasorzytujące jako niezachwianą wierność dla cesarza Austrii, każde hasło, wzywające do wyzwolenia rzesz pracujących i do walki chociażby o prawa wyborcze było wymysłem antychrysta. Ignacy Daszyński, gardząc jakimkolwiek przystosowaniem do ówczesnego, panującego tam środowiska, szedł nieustraszenie naprzód w imię idei socjalizmu i

JAN LORENTOWICZ

DROGI NIEUNIKNIONE

P. Jerzy Andrzejewski od pierwszych swych prac literackich, okazywał zainteresowania różnostronne: zajmowała go publicystyka, krytyka literacka i krytyka teatralna a jednocześnie próbował z powodzeniem twórczości powieściowej. We wszystkich tych dziedzinach działalności pisarskiej wyróżnił się powagą swej postawy życiowej. Ma zaledwie lat 27, więc buduje dopiero i ustala świat swoich poglądów, myśli i marzeń. Ogłoszone niedawno trzy jego opowieści, które łączy wspólny tytuł „D r o g i n i e u n i k n i o n e" (Warsz. 1936, wyd. „Prosto z mostu") stanowią niepospolity prognostyk na przyszłość. Staje przed nami oryginalny, utalentowany realista, nieco jeszcze surowy w wyrazie, nie zawsze pewny w analizie uczuć i koncepcji charakterów, ale — zamyślony głębiej nad życiem, nad cierpieniami, dramatami i tragediami ludzkich istnień.

Niepokoją go żywoty zwichnięte. Nie chodzi mu o anegdotyczne historie kolejnych etapów upadku człowieka na dno nędzy, ale — o dzieje duszy śród wydarzeń, stawiających człowieka wobec tajemnych nakazów przeznaczenia. Pochylony nad tymi tajemnicami, wtrąca niekiedy w opowiadanie własne refleksje takiego pokroju: „W każdym człowieku równie silne, jak troska o bezpieczeństwo, jest płynące z niej pragnienie utrzymania i zachowania pewnych stałych norm rzeczywistości. Spotykając się z ich zaprzeczeniem, widząc, że to, co dla nas jest ważne i starannie uzasadniane, życiem drugiego człowieka zostało przekreślone, czujemy się zagrożeni w najistotniejszem prawie równowagi. Wszystko się w nas lękliwie i bezwiednie buntuje wobec możliwości istnienia mroków, które doprowadzają poza ów k r e s w i d z i a l n o ś c i, gdzie prócz śmierci nic już nie istnieje".

Refleksje takie są w dziele sztuki nadbudową, dokonaną z innego materiału, niż reszta całości. Poszczególne momenty narracji winny być rozwinięte w taki sposób, aby czytelnik sam mógł odcyfrować ideologię utworu. Zresztą p. Andrzejewski jest dostatecznie wymowny w analizie wypadków i załamań duchowych.

Antoni Gielbard (opowiadanie p. t. „Koniec") jeszcze przed wojną dorobił się znacznego majątku handlem mąką i kaszami. W roku osiemnastym biura jego „Domu handlowego" zajmowały już całe piętro a na składy trzeba było wynająć specjalny magazyn. Niepodległość „okazała się dobrą, dojną krową". Po roku dwudziestym pan Gielbard lokuje już gotówkę w bankach zagranicznych, utrzymuje wielkie mieszkanie, funduje dygnitarzom kolacje w Bristolu i t. d. Niedługo było tego „szczęścia". Nadeszły protesty, zjawili się sekwestratorzy, komornicy. Gielbard założył nędzny sklepik przy ulicy Grójeckiej, w którym ślęczy po szesnaście godzin na dzień, aby utrzymać żonę i syna, studenta. Wegetacja beznadziejna. P. Andrzejewski dzieje kariery życiowej Gielbarda streszcza na jednej stronicy. Zajmuje go analiza duszy bohatera w przededniu ostatecznej katastrofy. W tej właśnie analizie ujawnia swój szczery talent.

Są święta, czyli jedyne dni wypoczynku, jakie Gielbard miewa w ciągu roku. Leży w łóżku i — rozmyśla nad swym losem. Nie widzi możności uratowania nawet tak nędznej sytuacji, w jakiej się znajduje a jednocześnie czuje się osamotniony. Nie jest potrzebny nikomu. Syn skończy medycynę i ma już obiecaną praktykę w sanatorium. Żona będzie się cieszyła powodzeniem syna lub też będzie się martwiła jego niepowodzeniami. On zaś widzi przed sobą tylko: k o n i e c. Dochodzi do wniosku, że całe „życie", to „jedno wielkie cygaństwo, jedne wielkie kpiny". Bo przecież życie kończy się nie ze śmiercią, ale z chwilą zniknięcia racji, dla której istnieje się i działa". Kiedy pomyślał, że tej racji niema — skończyło się wszystko. Tymczasem upłynęły święta na takim bolesnym obrachunku i — wróci automatyzm szarej, ponurej wegetacji.

Proces myśli Gielbarda posiada napięcie dramatyczne wysokiego gatunku.

Innym ludziom przygląda się p. Andrzejewski w opowieści p. t. „Kłamstwa". Jest tam pięć zdeklasowanych jednostek, żyjących poza nakazami społecznymi i normalną „moralnością". Mieszkają w t. zw. „pensjonacie" pani Grzędziakowej, gdzie „obiecują" płacić komorne, ale nie płacą. Typy — znane już w literaturze i wywodzące swój rodowód jeszcze ze sztuki Gorkiego „Na dnie". W charakterystyce ich p. Andrzejewski jest bardzo przenikliwy. Najżywiej zajmuje się niejakim Mojkiem. W dziejach jego przygód pragnął uwydatnić ukryte, niezależne od niego k o n i e c z n o ś c i i następstwa. Mojk opowiada sam swe życie i bywa nieraz gadatliwy nad miarę. Autor szuka w tej gadatliwości pomocy w odczytywaniu jego duszy. Mojk, po dłuższem bezrobociu, doszedł do pewnego nihilizmu pojęć. Zżył się z rolą „byłego człowieka" i—napróżno próbuje wydobyć się z tej matni. Ma oto sposobność powrotu do życia normalnego: otrzymał miejsce urzędnika w fabryce, dzięki nagłej śmierci swego konkurenta. Rozpoczął pracę, ale wkrótce ją porzucił, aby wrócić do swego towarzystwa w „pensjonacie". Tu zanurza się w ponurym mistycyźmie „tajemnicy" własnej istoty. „Czy w pewnej, nieprzeczuwanej chwili nie musi człowiek stanąć wobec nienawistnego mroku, aby zrozumieć, że wszystko, co dotychczas robił, było oszukiwaniem się, jednem wielkim kłamstwem, bo prawda spoczywa w człowieku tam, gdzie w ciszy i w ciemności rozgrywa się ostateczna walka nienazwanych żywiołów". Daje sobie samemu taką odpowiedź: „Wszyscy boimy się swojej prawdy, jak śmierci".

Dowiadujemy się wkrótce, jaką „prawdę" odkrył Mojk na dnie swych instynktów: „straszliwie chciał żyć", więc pewnego dnia, do spółki z siostrzeńcem Grzędziakowej, zamordował ją „w celach rabunkowych i sam został zabity przez swego wspólnika".

Nie próbował p. Adrzejewski odtwarzać szczegółowo procesu wewnętrznego, jaki doprowadził Mojka do zbrodni. Toby raczej świadczyło o czujności autora, aby nie zabrnąć w spóźnioną dostojewszczyznę. W uwagach Mojka o „tajemnicach duszy i władzy instynktów" jest wiele literatury, szlachetnej może, ale — literatury. Pomimo wszelkich, nietrudnych zastrzeżeń co do faktury, oba pierwsze opowiadania stwierdzają ukazanie się na widowni nowego pisarza dobrej rasy.

Atmosferę ostatniej opowieści p. t. „Ucieczka" znamy z wielu już naszych utworów: jest to życie w sanatorium. P. Andrzejewski rysuje sylwetki poszczególnych gości sanatoryjnych subtelnie, plastycznie, z pewnością rzutu wcale niezwykłą. Jest dyskretny, pisze prozą szlachetną i zwartą. I tu chętnie wtrąca swoje interesujące aforyzmy: „Człowiek, który nie czuje się samotnym, nigdy szczerze nie będzie umiał kochać". Albo: „Nic tak nie umacnia i do życia nie przywiązuje, jak świadomość istnienia dobrego, czystego człowieka". Natomiast mo [illegible] główny rozwinął autor sztucznie. Jeden z pacjentów, Andrzej Kaliński dogorywa na gruźlicę żołądka. Wezwano matkę chorego. Pani Kalińska (wybornie naszkicowana) przybyła, ale, po krótkim pobycie w sanatorium, wyjechała nagle, ku zdumieniu całego zakładu. Tajemnicę wyjaśniła się wkrótce. Dowiedziano się, że to nagłe opuszczenie umierającego syna nastąpiło z dziwacznego powodu: doktór zakładu oświadczył pani Kalińskiej, że gruźlica jej syna powstała stąd, iż niegdyś... nie chciała, aby się Andrzej narodził i stosowała w tym celu niebezpieczne zabiegi. Ta osobliwa diagnoza psuje konstrukcję utworu i stanowi niewątpliwy błąd autora. Nie zrażajmy się jednak tą sztucznością pomysłu: w samodzielnym, żywym i mocnym talencie zdarzają się pomyłki cenniejsze, niż bezbarwna, martwa a więc pozorna doskonałość.

Jan Lorentowicz.

POŻYTECZNE WYDAWNICTWA

dla bibliotek związkowych

NOWY TOM ORKANA

Na półkach księgarskich ukazał się nakładem Gebethnera i Wolfa nowy tom **Władysława Orkana** zatytułowany **„Czantoria i inne pisma literackie"**. Zgromadzone w nim zostały utwory piewcy Podhala nigdzie jeszcze nie drukowane, wydobyte z autografów, lub rozproszone po czasopismach. Poza wartością jaką mają, wnosząc do twórczości znakomitego pisarza nowe, nieznane szerszemu ogółowi pierwiastki, cechują je wysokie walory artystyczne, nie ustępujące najbardziej głośnym utworom Orkana.

POWIEŚĆ - DOKUMENT

Wszyscy, których pasjonuje literatura biograficzna, z najwyższą satysfakcją i pożytkiem przeczytają dwa duże i pięknie wydane tomy „Życie jakich wiele" Heleny Maty (Warszawa 1936 r., cena zł. 9.—. Skład Główny Gebethnera i Wolffa). Pod tym pseudonimem kryje się jedna z najczynniejszych ongiś uczestniczek ruchu niepodległościowo - socjalistycznego. Tytuł „Życie jakich wiele" zadaje kłam treści książki. Jest to życie niezmiernie urozmaicone, burzliwe, obfitujące w ogromne mnóstwo osobistych przygód — która jednak niemal wszystkie są charakterystyczne dla swojej epoki, dla tła i środowiska, które noszą wyraziste piętno swoich czasów i są przesiąknięte ich specyficzną atmosferą.

Losy inteligencji polskiej w okresie tworzenia się i walk P. P. S. — znajdują u Maty doskonałą obserwatorkę. Przewijają się postacie najwybitniejsze: Józefa Piłsudskiego, W. Sławka, B. Limanowskiego, Żeromskiego, Estery Stróżeckiej i wielu innych znakomitych i nieznanych, ukazanych w akcji, w konkretnych sytuacjach życiowych, prawie że w anegdocie. Dziesiątki nieznanych zdarzeń i szczegółów, kapitalne, niepozbawione przedniego humoru obrazki z dziejów i metod konspiracji są świetnym, niemal beletrystycznie interesującym uzupełnieniem naszej wiedzy o tych czasach.

---

niepodległości, siejąc zgrozę i zapamiętałą nienawiść wśród jednych, entuzjazm i wiarę w wyzwolenie wśród innych.

Okrzyczany wysłannikiem szatana, zdrajcą i sprzedawczykiem, pracującym na zgubę Galicji i Austrii za moskiewskie i pruskie srebrniki, Ignacy Daszyński musiał znieść niejedno i niejedną ciężką przeżyć chwilę, zmuszony opędzać się na wszystkie strony, przedewszystkiem zaś od ówczesnej prasy galicyjskiej, opanowanej z nielicznemi bardzo wyjątkami przez nędzne i ciemne kreatury lub płatnych naganiaczy. Nic więc dziwnego, że sąd Ignacego Daszyńskiego o prasie przepojony jest goryczą. Ugruntowany w drodze wieloletniego doświadczenia pogląd jego na wartość ówczesnej galicyjskiej prasy jest głęboko prawdziwy: „Przestałem z biegiem lat interesować się plamami na honorze przeróżnych ludzi politycznych, starając się tylko trzymać od nich zdaleka. Ale czasem atak wstrętu moralnego dławił mnie i [illegible]bierał otuchę w pracy pub[illegible]znej... Prasa galicyjska dostarczała mi również obficie tematów do tego wstrętu żywiołowego... Szelmostwa rodzimej prasy były prymitywne i grubo ciosane. Pewno, że i u nas zaczęła się powoli prasa amerykanizować, ale czyniła to przy pomocy jawnych idjotyzmów, wprowadzanych dla przyciągnięcia ciemnej masy niedorozwiniętego społeczeństwa. Mogłem już i w Galicji obserwować rozwój dzienników, które spekulowały tylko na głupotę ludzką. Cielę z dwiema głowami, kurczę z sześcioma łapkami, zbrodnie i morderstwa, głupkowate zupełnie oceny polityczne i gospodarcze, przekupstwa, oszczerstwa i jeszcze raz kretynizm piszącego i czytającego, ta cała oszałamiająca głupota i płaska nikczemność, działały mi na nerwy, odpychały mnie i czyniły niemal wrogiem prasy, choć sam byłem przez tak długie lata dziennikarzem".

Ta surowa ocena naszej prasy codziennej, objektywnie zupełnie prawdziwa, jest jeszcze tem bardziej usprawiedliwiona, jeżeli się zważy, ile z łam tych szmat wylano pomyj na głowę tego szlachetnego entuzjasty, ile oszczerstw i krzywdzących posądzeń wypisały tam o Ignacym Daszyńskim najprzeróżniejsze skryby, dotknięte fantazjującą głupotą. Ale w ostatecznym podsumowaniu cała ta wieloletnia nędzna naganka prasy mizerne wydała owoce, które nie zdołały zagrodzić Daszyńskiemu drogi do wielkości. Od pamiętnego pierwszego zjazdu socjalistycznego we Lwowie, kiedy to w 1892 r. Ignacy Daszyński wygłosił swą wspaniałą mowę i zapowiedział wyraźnie, że odtąd Niepodległość Polski staje się naczelnem hasłem rzesz pracujących, droga jego życia wznosi się szybko ku górze, znaczona zdobyczami politycznymi i triumfami osobistymi.

Po uporczywym i długotrwałym boju o prawa wyborcze proletarjatu w monarchii habsburskiej, Ignacy Daszyński wybrany zostaje po raz pierwszy posłem do parlamentu wiedeńskiego w 1897 r. i od tego czasu, wybierany z entuzjazmem, jako niezawodny wódz rzesz pracujących, posłuje bez przerwy aż do 1918 r., zyskawszy sławę światową wielkiego oratora i parlamentarzysty.

Wreszcie, gdy na zegarze dziejów wybiło odrodzenie Polski, Ignacy Daszyński staje na czele Rządu Ludowego w Lublinie, a po powrocie Komendanta z Magdeburga bierze czynny udział w Warszawie, upojonej wolnością, w tworzeniu pierwszego Rządu niepodległego wskrzeszonego Państwa Polskiego. Ukończywszy te czynności dn. 19-go listopada, zyskuje chwilę wytchnienia: „Jakże rozkoszną — zwierza się ten utrudzony bojownik demokracji — była przechadzka bez celu po Warszawie, jakąż swobodę odczuwałem wreszcie po tylu miesiącach i latach niedoli wojennej. Spełniły się sny młodości: po latach męki wojennej, cierpień, walk, błędów i pracy, zajadłej, zapamiętałej pracy, po tylu przejściach, po tylu upadkach nadziei, wyłaniało się oto niepodległe państwo polskie z krwawego odmętu dziejów. Uczucia, które rozpierały pierś moją w tym pierwszym dniu swobody, porównać mogę tylko z temi, które odczuwałem w gorących dniach lata 1914 r., w początku wojny. Nie każde pokolenie może być dumne z przeżycia takich dni epokowych".

W styczniu 1919 r. Ignacy Daszyński wybrany został z Krakowa posłem na Sejm Ustawodawczy. W 1920 r. w czasie wojny bolszewickiej zajmował stanowisko vice-premiera. W dwóch pierwszych Sejmach przewodniczył frakcji parlamentarnej P. P. S., w trzecim zaś Sejmie pełnił czynności marszałka. W 1930 r. ponownie został wybrany posłem na Sejm, ale wkrótce zmuszony był na skutek złego stanu zdrowia usunąć się od czynnego życia politycznego. Dnia 31 października 1936 r. Ignacy Daszyński zakończył życie, wypełnione trudem i poświęceniem, nie sprzeniewierzywszy się nawet na mgnienie swym ideałom młodości i nie zboczywszy z drogi przed półwieczem obranej.

H. W. L.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

POSTĘPY CZY COFANIE SIĘ

Sytuacja kobiety na rynku pracy

Zmiany, jakie kryzys gospodarki kapitalistycznej wywołał na rynku pracy w ostatnich latach, bardzo dotkliwie odbiły się na sytuacji kobiet pracujących. Jeszcze i przed kryzysem warunki zarobkowania, materjalne i moralne, były naogół dla kobiet gorsze, niż dla mężczyzn, mimo to jednak istniała tendencja poprawy. Można też było mówić o pewnym, stale zaznaczającym się „postępie", czy postępach, jakie czyniły kobiety na rynku pracy, zarówno w sensie liczebności ich zatrudnienia, jak dogodniejszych warunków pracy, a nawet do pewnego stopnia i wyrównywania płac, przynajmniej w niektórych kategorjach zajęć i zawodów.

Czy obecnie wiele się zmieniło na niekorzyść kobiety? Czy ucierpiała ona bardziej, niż pracownicy — mężczyźni? Czy stosunkowo może ucierpiała mniej? Nie jest łatwo odpowiedzieć ściśle na te pytania. Zagadnienie pracy zarobkowej kobiet, nieuchwycone dostatecznie przez statystyki zwłaszcza, gdy dotyczy pracownic umysłowych, niedość jest badane przez objektywne czynniki. Z ważności tego problemu w stosunkach społecznych i rodzinnych zdają sobie sprawę organizacje kobiece i starają się go oświetlić i pogłębić. Jedną z takich prób było postawienie zagadnienia na Kongresie Międzynarodowej Federacji Kobiet Pracujących Zawodowo, odbytym w Paryżu z końcem lipca. Na temat „Czy kobieta pracująca robi postępy, czy też się cofa" przeprowadzona tam ciekawą dyskusję, zbyt jednakże rozbieżną pod względem przytoczonych przykładów i kryterjów zastosowanych przez uczestniczki z różnych krajów i nawet części świata, by wynikła stąd jakaś pozytywna wiedza o tym przedmiocie.

Same sformułowanie tego tematu na obrady kongresowe oznacza jednak, że koła kobiece przejęte są i poruszone daleko idącemi zmianami, jakie nastąpiły w ciągu ostatniego okresu kilkoletniego na rynku pracy. Wydaje mi się, gdy zastanawiam się nad tem zagadnieniem, że zmiany te nie są znamieniem prostego postępu, lub cofania się po tej samej linii. Nie można mówić „mniej" lub „więcej" — „lepiej" lub „gorzej" — „naprzód", czy „wstecz". Sądzę, że sytuacja kobiety na rynku pracy przeszła w inne płaszczyzny, zmieniła swój plan rozwoju, nabrała innych barw, dostała się w inny klimat. I dlatego ocena tych zjawisk nie da się ująć nieskomplikowanym określeniem „postępowania naprzód" czy też „cofania się wstecz".

Przeniesienie sprawy pracy zarobkowej kobiet w inne płaszczyzny, niejako na inne piętra, odbyło się przede wszystkim w dziedzienie pojęć i psychiki społeczeństw. W okresie, jeszcze ściśle związanym z następstwami wojny światowej i z budowaniem nowych państw, na nowych — jak się wówczas łudzono — zasadach społeczno - moralnych, a przytem wśród tendencyj do materjalnej „prosperity" — w okresie tym kobieta pracująca była czynnikiem, z którym wiązał się ten nowy, pełen świeżych nadziei układ sił i idei. Kobieta pracująca była w oczach szerokiego ogółu nowością, była czemś w rodzaju niewiadomej, była pozycją modną w oczach snobów (a któż, jak nie snobi tworzą najpowszechniejsze pojęcia?). Była kobieta także niejako eksperymentem na stanowiskach kierowniczych i państwowych, które dawniej były przed nią bezapelacyjnie zamknięte. Odnoszono się do kobiety wówczas z pewnym sceptycznym uprzedzeniem nie pozbawionym wyrozumiałości i kredytu w rodzaju: „niechaj probuje swych sił, a potem zobaczymy, co potrafi..."

A dzisiaj? Kobieta pracująca w pojęciu pospolitem, na ustach snobów, którzy znowu urabiają pojęcia dnia — kobieta to albo niepotrzebny intruz, albo zawada w planie gospodarczym społeczeństwa, albo stworzenie jakieś „malum necesarium", którego niewiadomo, jak się pozbyć, skoro niema innej alternatywy, jak pozwolić jej pracować na chleb, lub skazać ją na głodową śmierć.

Skąd wzięły się argumenty do tak radykalnej przeprowadzki pojęć na inne piętra? Zrodziły się z jałowych mózgów bezradnych polityków i niewybredności myślowej tłumów, poszukujących w swej niedoli i kłopotów kryzysowych jakiegoś „winowajcy", kozła ofiarnego, którego możnaby zgładzić i rzucić na ołtarz Molocha -kryzysu. Tak też wytworzył się nieomal nienawistny stosunek do pracy kobiet, zwłaszcza gdy praca ta daje względnie dobre stanowisko społeczne i lepsze od najgorszych zarobki. Powstały jakieś absurdalne pojęcia, że jeśli pracować wolno kobiecie — to tylko nędzarce i w najgorszych warunkach, lecz, że praca kobiety w warunkach dobrobytu jest jakoby nadużyciem społecznem.

Na rynku politycznym pojawiły się kolejno doktryny modnych nacjonalizmów, faszyzm italski i narodowy socjalizm niemiecki, które w zdecydowany sposób usuwają kobietę, jako „gatunek" od udziału w kierownictwie sprawami państwowymi, administracyjnymi i samorządowymi. W najszerszych masach ludowych zwalczają kierownicy polityczni tych krajów wszelką pracę zarobkową kobiet, pozostawiając im tylko niektóre „zawody kobiece" i bezpłatną, choćby najcięższą, pracę domową. Powzięto szereg specjalnych zarządzeń, aby obywatelki tych państw zrzekały się „dobrowolnie" pracy zawodowo-zarobkowej.

Interwencja państwa w eliminowaniu kobiet z warsztatów pracy zarobkowej niewszędzie przyjęła kształt doktryny państwowej, lecz w całej niemal Europie i w Ameryce, gdzie prawo kobiet do pracy wydawało się zdawna ugruntowane — a tendencja ta wyraziła się w zarządzeniach praktycznych, mniej lub więcej oficjalnych, lub zgoła poufnych, wstydliwych, zwłaszcza w tych krajach, które nie mogły otwarcie przeciwstawić się swej liberalnej konstytucji. Wszędzie jednak były, jeżeli nie dekrety, to okólniki ministerjalne, dotyczące usuwania kobiet ze stanowisk państwowych i samorządowych, nawet w dziedzinie tak odwiecznie kobiecej, jak wychowanie i szkolnictwo.

W niektórych krajach (Belgia a także i Polska) organizacje kobiece potrafiły przeprowadzić lepiej, lub gorzej obronę swej pozycji wobec presji rządów, mimo to jednak usunięto z pola pracy znaczne rzesze kobiet, zmuszone do odwrotu przez bezapelacyjne redukcje, przez odbieranie im stanowisk kierowniczych i dobrze płatnych.

Skutkiem tego zmniejszenia się szans w osiągnięciu stanowisk publicznych, jest zwrot kobiet ku zawodom wolnym i handlowo - przemysłowym, jakkolwiek i na tym pozornie „wolnym" rynku muszą przezwyciężać wielkie przeszkody. Brak szans w karjerach sędziowskich, administracyjnych, dyplomatycznych wydaje się dziś tak absolutny, że mało jest bardzo odważnych, które chciałaby kusić się o ich zdobycie, poświęcać lata studjów i praktyk na dążenie do celu, wydającego się niejako utopją. Widzimy wyraźne ochłodzenie zapału kobiet młodego pokolenia ku tym dziedzinom pracy, które były mirażem dla reformatorek społecznych poprzedniego pokolenia kobiet, dążących do udziału w rządach i administracji państwowej.

Możnaby więc nie bez racji mówić o obecnej porażce kobiet i o cofaniu się ich z rynku pracy, a nawet o niejakiej rezygnacji ich samych z aspiracyj do pracy zawodowej. Z drugiej jednak strony konieczności gospodarcze, bieda w sferach inteligenckich, ziemiańskich i mieszczańskich, tak ostro występująca w niektórych krajach, między nimi i w Polsce, popychają coraz liczniejsze zastępy kobiet do pracy zarobkowej. Pęd ten jest potrzebą czysto gospodarczą — niema w nich ani feminizmu, ani wojowniczego demokratyzmu, często niema ani zamiłowań umysłowych, ani pobudek społecznych — jest tylko konieczność zarobkowania na chleb dla siebie i dla rodziny.

Kobiety w tej sytuacji szukają pracy w granicach bardzo skromnych wymagań. Spotyka je zato ze strony przeciwników pracy kobiet słuszny, choć nielogiczny zarzut demoralizowania pracodawców-kapitalistów i psucia rynku przez obniżenie płac. Ale ci przeciwnicy są ostatnimi, którzy troszczyliby się o sprawiedliwe płace. Kobiety znalazłszy się w kole minimalnych możliwości, dążą do bylejakich zajęć, przechodzą w szeregi chałupników, najnędzniej zarabiających, poświęcają swe kwalifikacje wyższe na rzecz doraźnego zarobku.

Trzeba to więc uznać za cofanie się w hierarchji pracy, natomiast nie należy przeoczyć „postępu", jakim jest zdolność przystosowania się do realnych warunków rynku, oraz inicjatywa kobiet w zajmowaniu nowych pól pracy. Niektóre organizacje kobiece, między nimi właśnie Federacje Kobiet Pracujących Zawodowo, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, poświęcają specjalne studia i środki na badanie nowych zawodów, na kształcenie kobiet i otwieranie im nowych możliwości zarobkowych. Jest to niewątpliwy krok naprzód.

Jeżeli wśród kobiet z wyższą kulturą i kwalifikacjami umysłowemi stwierdza się ubytek pracujących w swoich zawodach (bo wiele odeszło z musu do prac mechanicznych, do robótek i prowadzenia stołowni) — to pracownice fizyczne i robotnicze fabryczne raczej zyskują na terenie. Statystyki wskazują, że nawet w ciężkim przemyśle nastąpił wzrost zatrudnienia kobiet, niekiedy o kilka procent w stosunku do mężczyzn. Popyt na pracę kobiet w przemyśle rośnie wyraźnie wskutek taniości kobiecych stawek robotniczych. Nie wiem, czy należy to określić, jako „postęp". Cyfrowo wyglądałoby to na sukces kobiety pracującej — z gospodarczego i społecznego punktu widzenia trudno opowiedzieć się tu za pojęciem postępu... Zatrudnienie masy nędzarek, płatnych poniżej wszelkiego ludzkiego minimum, podległych naprawdę czarnemu wyzyskowi pracodawców, równoczesne kurczenie się ochrony pracy kobiet i obniżanie się świadczeń z tytułu ubezpieczeń macierzyństwa robotnicy — to nie jest przecież postęp w zdrowem tego słowa znaczeniu. Liczebność kobiet zatrudnionych nie jest wystarczającym argumentem ich lepszej sytuacji na rynku pracy.

Te skomplikowane zjawiska dają się ująć więc tylko w warunkowe określenia postępu i cofania się. Możnaby powiedzieć, że kobieta pracująca idzie naprzód, lecz warunki gospodarcze i społeczne wyrywają jej grunt z pod nóg. Niewątpliwie obecnie i w okresie ostatnich paru lat, wysiłki kobiet w celu zdobycia zarobku i chleba są większe, niż kiedykolwiek dotąd. Niewątpliwie kobiety rozumieją coraz pełniej potrzebę fachowego kształcenia się i osiągania kwalifikacyj zawodowych i—nadewszystko — więcej dziś jest, niż dawniej, kobiet, potrzebujących pracy zarobkowej. Skurczyły się natomiast szanse uzyskania pracy w zawodach, lepiej sytuowanych, podczas, gdy w chałupnictwie i w pracy wyrobniczej nastąpiło zwiększenie stanu zatrudnienia kobiet. Sytuacja przedstawia się więc w ten sposób, że nawet, gdy zaznacza się względny postęp ilościowy — jakość warunków pracy pogarsza się.

Niewesołe te rozważania, związane z obradami Kongresu Kobiet Pracujących Zawodowo, wywołały w organizacjach kobiecych większą świadomość, że trzeba bez względu na trudności, podejmować pozytywną akcję w celu polepszenia warunków pracy i egzystencji pracownic.

Jadwiga Krawczyńska.

Radio dla amatorów dalekich rozgłośni

Radiosłuchacze, których najmilszym sportem jest „złapanie" egzotycznej stacji wiedzą dobrze, że były dotychczas dwa kontynenty, cieszące się wątpliwą sławą najmniej zradiofonizowanych: Azja i Afryka.

Obecnie jednak Azja zasługuje coraz bardziej na lepszą opinię: Japonia i Jawa pokryte są już całą siecią krótkofalówek, a ostatnio przystąpiły do zradiofonizowania swych wielkich przestrzeni i Chiny. Szanghaj posiada rozgłośnie, nadające w kilku językach, podobnie i inne większe miasta chińskie. Zorganizowano również zjednoczoną propagandę broadcastingową, popieraną przez rząd i mającą specjalnie zorganizowane programy. Według doniesień korespondentów propaganda ta dąży do utworzenia stacji krótkofalowej o wielkiej mocy, którą słyszeć będzie można na całym Wschodzie, oraz w Ameryce, a nawet i w Europie. Stacja ta ma być „głosem Chin", idącym na cały świat.

Z radiofonizacją Azji zaczyna być więc coraz lepiej. Inaczej z Afryką. To część świata, tak bliska Europy, jest nietylko mało zradiofonizowana ale i bardzo słabo w Europie słyszalna, co jest tym dziwniejsze, że europejskie stacje odbierane są w Afryce doskonale.

Jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy jest słaba moc rozgłośni afrykańskich. Jedynie tylko krótkofalowa radiostacja w Johanesburgu ZTJ ma 5 kw oraz Marokko — 10 kw, moc pozostałych rozgłośni wynosi przeważnie około 500 wattów.

Jedną z najlepiej znanych krótkofalówek afrykańskich jest Nairobu w Kenia, o sile 500 wattów, nadająca na fali 49.31 m. Najlepiej chwytać ją między godziną 19.00 a 20.00. Rozgłośnię tę słychać czasem, niestety czasem tylko, zato bardzo dobrze.

Johanesburska ZTJ romantycznie położona na „złotym brzegu" nadaje na fali 49,2 i choć nazywa się tylko „doświadczalna" — pracuje jednak codziennie. Złapać ją jest jednak trudno mimo stosunkowo dużej mocy nadawczej. Powodem tego jest nieświetna obsługa. Podobno teraz stan rzeczy ma ulec poprawie wobec zmiany zarządu, która nastąpiła po zreorganizowaniu radiofonii afrykańskiej na wzór B.B.C. brytyjskiej.

Następną z egzotycznych rozgłośni afrykańskich jest Lobito w Angoli krótkofalówka CR6AA, nadająca na fali 41.8 m w środy i soboty od 20.30 do 22.30, o sile 500 wattów.

Inna rozgłośnia Afryki Zachodniej jest w Mozambiku, a siła jej wynosi 150 wattów. Stacja ta nadaje na fali 84,67 mtr. Niema, zdaje się, żadnego sposobu usłyszenia jej w Europie.

Najsilniejsza rozgłośnia w Marokko o sile 10 kw, CNR, nadająca na falach 37,33 i 23,39 mtr zbudowana została dla celów handlowych, często jednak, choć nieregularnie używana jest również i dla programów. Na fali 37,33 nadaje ona co niedziela muzykę arabską między godz. 21.00 i 23.00. Radiostację tę można stosunkowo łatwo słyszeć w Europie. Na wyspach Kanaryjskich są dwie rozgłośnie: Teneryfa — EA8AB pracująca na fali 41,6 m o sile 200 wattów i Tananarliva — FIQA na fali 52,7 o sile 500 wattów.

Wspomnieć wreszcie trzeba o wojennej ŁTB w Addis Abbebie, która zamilkła w chwili zajęcia stolicy abisyńskiej przez wojska włoskie. Nie usłyszymy już zapewne nigdy ŁTB, gdyż urzędowe sprawozdania z Addis Abbeby oznajmiały, że radiostacja stołeczna została zupełnie zniszczona.

W czasie wojny włosko - abisyńskiej funkcjonowała również rozgłośnia włoska w Asmarze, nadająca dość zajmujące programy. Trudno ją było usłyszeć bezpośrednio, lecz transmitowały ją doskonałe krótkofalówki włoskie, zwłaszcza 2 RO, nadająca na fali 25 m.

Nie ulega też wątpliwości, że z chwilą uporządkowania stosunków, Włosi stworzą w Abisynii sieć stacyj krótkofalowych, których żywot potrwa może dłużej, niż działalność ŁTB.

Radiowy odczyt dyskusyjny

Coraz bardziej wzrasta udział państwa w życiu gospodarczym kraju. Liberalizm ekonomiczny zamiera w sposób widoczny. Interwencjonizm państwowy i planowanie gospodarcze stały się nie tylko faktem, ale i oczywistą koniecznością. Organizacje publicznenietylko kierują życiem gospodarczym, ale biorą w nim czynny udział. Państwo i samorządy terytorialne stają się producentem i kupcem.

Czy w obecnych warunkach możliwy jest nawrót do prywatnej inicjatywy gospodarczej? Czy pożądanym jest przejmowanie warsztatów produkcyjnych przez państwo? Zagadnienia te będą tematem audycji „Dyskutujmy" w dn. 17.XI o godz. 19.00. Prelegentem będzie p. Janusz Rakowski.

O kursy dla pracowników Ubezpieczeń Społecznych

W n-rze 19 „Echa Społecznego" rzucono poważny snop światła na rolę pracowników ubezpieczeń społecznych w Polsce, tak mało znaną szerokiemu ogółowi przeciętnego obywatela. Nic więc dziwnego, że tematem tym zainteresowały się przede wszystkim najszersze warstwy pracowników ubezpieczeń społecznych — bez względu na zabarwienie swych zapatrywań, lub też, takie czy inne, ustosunkowanie się do pewnych jego szczegółów.

Bo i któżby z nas mógł — choćby przez chwilę — wątpić, że tylko przy tak głębokim zrozumieniu naszej ideologji zawodowej potrafimy przeorać pozytywnie dotychczasowe dziwne uprzedzenie malkontentów, pragnących nieraz za wszelką cenę zniweczyć obecną formę ubezpieczeń — dobrodziejstwo dorobku dwóch pokoleń.

Oczywiście, by pokonać potęgujące się na tej drodze trudności, by sprostać należycie tym olbrzymim zadaniom, jakich idea solidaryzmu społecznego od nas wymaga i by godnie dzierżyć prym w charytatywno-społecznej służbie państwowej, koniecznym jest, by każdy z nas był nie tylko elementem ofiarności i sumienności w zakresie poruczonej mu pracy, lecz także, by zakres jego wiedzy fachowej był — pod każdym względem — jak najszerszym.

Dlatego też ze szczerym zadowoleniem trzeba przyklasnąć świetną myśl urządzenia stałych kursów dla pracowników ubezpieczeń społecznych. Należałoby jednak, drogą obszernej dyskusji, skrystalizować bliżej ich formę i organizację.

Osobiście byłbym zdania, że kursy takie winny być zorganizowane — w miarę możności — przy każdej większej Ubezpieczalni (centrali). Również byłbym za dwojakim typem kursów: 1) dla początkujących (praktykantów) i 2) dla specjalizujących się. Kurs dla początkujących mógłby trwać 20 — 25 godzin, a egzamin z tego kursu poniekąd sprawdzianem, czy i jak dalece dany kandydat nadaje się do pracy w instytucjach ubezpieczeń społecznych. Kursy dla specjalizujących się musiałyby — z natury rzeczy — trwać dłużej, a w każdym razie przynajmniej 40 godzin. Na słuchaczów tych kursów byliby przyjmowani zdolniejsi pracownicy — najwcześniej w 2-gim roku pracy. Kursy te obejmowałyby w kolejności poszczególne działy pracy, a więc:

1) dział ewidencji (rejestracja, orzecznictwo, kontrola zakładów pracy);

2) dział świadczeń (chorobowych, zwrotnych, długoterminowych);

3) dział wymiaru i poboru składek;

4) dział rachunkowości;

5) dział administracyjno-gospodarczy.

Przy dobrze zorganizowanym dokształcaniu, dana instytucja w ciągu kilku lat mogłaby wyspecjalizować w każdym dziale przynajmniej połowę swej obsady, a w każdym razie jej poziom wiedzy fachowej podniósłby się ogromnie. Z drugiej strony, początkujący pracownik, posiadający już pewną miarę wiadomości teoretycznych, osiągniętych na kursie, opanuje zawiłe problemy pracy ubezpieczeniowej o wiele prędzej, a efekt jego pracy będzie bezsprzecznie owocniejszym.

Musimy przytym pamiętać, że jak w każdej dziedzinie życia tak i w pracy ubezpieczeniowej będzie coraz liczniej dochodzić do głosu a następnie i decydować — dzisiejszy „narybek". Jego więc poziom intelektualny a nie mniej i jego wiedza fachowa może — na plus lub na minus — zaważyć na szali dalszych losów ubezpieczeń społecznych. Na nas zatem, „kadrowcach" ubezpieczeń, ciąży moralny obowiązek dołożenia wszelkich starań, by młody nasz współpracownik — może w przyszłości nasz przełożony — był w swym zawodzie wszechstronnie opanowanym i by był pełnowartościowym pionierem tych idei, które dziś a, nam przyświecają.

Sprawa kosztów urządzenia kursów, przy dobrej woli zainteresowanych czynników t. j. Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Związku Pracowników U. S., oraz samych zainteresowanych pracowników, nie będzie chyba przedstawiała większych trudności.

Przy tej sposobności chciałbym jeszcze nadmienić, że — ze względów praktycznych — byłoby bardzo wskazanym, by Związek wydał podręczniki, zawierające jasno i przystępnie podane najważniejsze i zasadnicze wiadomości o ubezpieczeniach społecznych, co dla początkujących pracowników byłoby bardzo przydatnym materiałem. Również daje się dotkliwie odczuwać brak podręczników, traktujących szczegółowo i aktualnie całokształt ustawodawstwa i przepisów, odnoszących się do poszczególnych działów. Podręcznik taki, urozmaicony ponadto różnymi przejrzystymi przykładami i orzeczeniami najwyższych instancji w zakresie ubezpieczeń społecznych, znalazłby na pewno sporo nabywców nie tylko wśród „kursistów" lecz także i wśród młodszych czy starszych „speców" ubezpieczeniowych.

Trzeba wziąć pod uwagę, że podręcznik **„Ustawa o ubezpieczeniu społecznym z 1933 r."**, wydany przez b. Bibljotekę Kasy Chorych, nie posiada źródłowego charakteru i zawiera poważną lukę, jaką jest brak rozporządzenia wykonawczego do tejże ustawy. Ponadto wydanie to w znacznej części uległo poważnym zmianom wskutek znowelizowania. Brak w nim również ustaw zasadniczych, co dla przeciętnego pracownika Ubezpieczalni przedstawia nie małe trudności w jego codziennej pracy.

Zabierając głos w dyskusji, poruszyłem tę część zagadnienia, która — zdaniem moim — ze względu na swą ważność i aktualność wymagałaby dalszego jej omówienia — z różnych punktów widzenia. Spodziewam się więc, że moje uwagi na ten temat nie będą odosobnionymi i że wśród Czytelników znajdą się tak krytycy jak i zwolennicy mych poglądów, którzy wypowiedzą się na łamach „Echa Społecznego". — Oby tylko było ich jak najwięcej i oby polemika ta wydała rychło pożądane rezultaty.

J. K. (Cieszyn)

PRAWDZIWY WYCINEK ŻYCIA

Cała działalność publicystyczna Haliny Krahelskiej świadczy o jej wielkiej wrażliwości na krzywdy i poniżenia pracującego człowieka. Spełniając przez długi czas czynności inspektorki pracy, Halina Krahelska miała nieraz sposobność przekonać się, jak przestrzegane są prze „czynniki produkcji" przepisy o ochronie pracy i jakich sztuczek używają, ażeby obejść ustawodawstwo społeczne dla własnych korzyści materialnych. Poznając osobiście tę stronę życia fabrycznego, każdy inspektor pracy, jeżeli nb. przedtem i gdzieindziej nie zatracił poczucia człowieczeństwa, co na szczęście nie jest częste, staje się nie tylko z urzędu obrońcą świata pracy, lecz całą duszą nastawiony jest w kierunku ścisłego stosowania w praktyce przepisów naszego ustawodawstwa ochronnego.

Ale Halina Krahelska nie tylko w inspektorskiej szkole poznała niedolę rzesz pracujących oraz swoistą moralność pracodawców i nie tylko tam kształtowało się jej stanowisko wobec zjawisk społecznego życia. Z książki Haliny Krahelskiej, wydanej przed dwoma laty p. t. „Pamiętnik rewolucjonistki" widać, że jeszcze za czasów niewoli jako młodziutka studentka brała już czynny udział w ruchu robotniczo-chłopskim i jako jedna z czołowych działaczek P.P.S. w Kijowie odcierpiała za swoją pracę i przekonania więzieniami w Rosji i zesłaniem na Syberię.

Tembardziej więc działalność pisarska Haliny Krahelskiej wydać się musi poważnie umotywowaną, jej bowiem dzisiejszy stosunek do świata pracy powstawał już przedtem w drodze własnego doświadczenia i cierpień osobistych.

Ostatnia książka Haliny Krahelskiej p. t. „Polski strajk" *) jest pierwszą jej próbą wypowiedzenia się w formie powieściowo - reportażowej. Książka ta powstała w wyniku ostrej uczuciowej reakcji autorki na niedawne wypadki w jednym z miast Polski zachodniej. Pisana jest z doskonałą znajomością miejscowych stosunków, odsłania wewnętrzną stronę życia tej właśnie fabryki p. f. „Szpilki", gdzie zawiązał się główny wątek tragedii, która później objęła miasto i pogrążyła je w odmętach krwawego nieszczęścia. Wszystkie osoby, działające tam i wciągnięte w orbitę powieści oddane zostały bardzo wyraźnie i plastycznie, z wielkim poczuciem prawdy psychologicznej. Prawda życiowa przebija z każdej kartki, z każdego szczegółu, charakteryzującego galerię występujących tam ludzi i uosabiających bądź szlachetność i poświęcenie, bądź nikczemność i sprzedawczykostwo, pracę i łupiestwo. Z ducha książki jasno wynika stosunek autorki do rzeczy i osób tam działających, nie chowa się za plecy jakiejś postaci, lecz, przeciwnie, niedwuznacznie daje poznać, że całą duszą staje po stronie słabych, skrzywdzonych, szczutych i poniewieranych. Jest to powieść wybitnie społeczna i jakby mająca na celu poruszenie zbiorowego sumienia, ażeby poczuło się ono obrażonem na widok bezlitośnie przez kapitał łupionych i żyłowanych rodaków. Nadto książka Haliny Krahelskiej jest także w pewnym sensie autentycznym dokumentem epoki. (

*) Halina Krahelska: Polski strajk. Tow. Wydaw. „Rój", Warszawa 1936. Powieść.

Wystrzegajcie się wędrownych kilimiarzy

Wszystkim pracownikom znani są snujący się po biurach, domach, ulicach ajenci obładowani kilimami „huculskimi". Kilimy te sprzedawane na raty przysparzają jednak coraz częściej kłopotów nieostrożnym nabywcom.

Ostatnio — ku przestrodze — notujemy następujące wysoce charakterystyczne zdarzenie. Pan X., nabył u takich właśnie wędrownych agentów kilim. Raty wpłacał regularnie przez długie miesiące. Traf chciał, że zapomniał pan X. o ostatniej racie. Był przekonany zresztą, że całość uregulował. Niestety — nie zachowywał wszystkich kwitów. Wystarczyło to, by firma kosowska niejakiego p Anczeli Fischera, wystąpiła... z zajęciem pensji. Sytuacja jest paradoksalna: bo ostatnia rata — wg p. Fischera jeszcze niewpłacona — wynosiła zł. 10, a obecnie roszczenie firmy tej wynosi: 10 zł. z 8% od dnia 16.V.36 r. z kosztami sądowymi — 24 zł., koszty adwokackie — 4 zł. 50, i egzekucyjne — 6 zł. 80 gr. Zamiast więc — 10 zł., bez upomnienia trzeba teraz płacić — „tylko" — około 50 zł.!

Właściwie wszystko jest formalne. Ale — czy tak można postępować, nie narażając się na publiczne napiętnowanie? Strzeżmy się w biurze, w domu, na ulicy — wędrownych kilimiarzy, oddających towar podobno — ze bezcen. Konsekwencje bezcenności są widoczne na naszym przykładzie.

15-lecie pracy dyrektora dr. M. Grubera

Pracownicy Ubezpieczalni Społecznej w Stanisławowie, zrzeszeni w Związku Zawod. Pracowników Ubezp. Społecznych w Polsce i w Centralnym Związku Zawodowym Prac. Instyt. Ubezp. Społecznych (konkurencyjnych) pragnąc uczcić 15-letnią rocznicę Dyrektora Dr. Marcelego Grubera ofiarowali Mu w dowód szacunku dla Jego wytężonej pracy dla dobra społeczeństwa i instytucji, album pamiątkowy, przedstawiający rozwój instytucji przez Niego kierowanej.

W dniu 3 listopada b. r. kolega Czaykowski, prezes Oddziału Z. Z. P. U. S. w Stanisławowie wręczając Panu Dyrektorowi Dr. Gruberowi album pamiątkowy podkreślił w krótkich słowach intencje ogółu pracowników dalekie od serwilizmu nacechowane prawdziwą życzliwością dla osoby Jubilata 15-letniej pracy, jakoteż prawdziwie ludzkie i europejskie ustosunkowanie się tegoż przełożonego do pracowników i rzedko spotykany szacunek przełożonego dla pracy swych podwładnych.

Dyrektor Dr. Gruber dziękując za dowód pamięci — w przemówieniu swem podkreślił zadowolenie z rezultatów pracy i harmonijnej atmosfery, panującej w instytucji.

Zaznaczyć należy, że album wręczony Panu Dyrektorowi Gruberowi został całkowicie wykonany przez pracowników Ubezpieczalni.

Dni kolonialne w Polskim Radio

Wśród aktualnych problemów, które winny być znane najszerszym warstwom polskiego społeczeństwa na pierwszy plan wysuwają się niewątpliwie sprawy populacyjne, migracyjne i surowcowe. Problem przeludnienia kraju i sprawa rynku pracy dla przybywających rok rocznie nowych rąk roboczych, oraz sprawa surowców niezbędnie potrzebnych dla życia narodu — winny być znane każdemu obywatelowi. Dla popularyzacji tych zagadnień Liga Morska i Kolonialna organizuje w dniach 21, 22, 23 listopada Dni Kolonialne, które znajdą silny oddźwięk w programach radiowych, bowiem Polskie Radio w ciągu całego tygodnia od dn. 13.XI do dnia 25.XI nadawać będzie codziennie pogadanki, odczyty i specjalne reportaże na tematy kolonialne.

Dn. 18.XI usłyszą radiosłuchacze wywiad z p. L. Janikowskim, uczestnikiem wyprawy Rogozińskiego do Kamerunu; dn. 19.XI nadana będzie pogadanka informacyjna o „Dniach Kolonialnych"; 20.XI „O Polakach za oceanem" potraktuje audycja południowa dla szkół. Tegoż dnia zabierze głos w felietonie, reportażu „Polacy w Brazylii" — Bogdan Pawłowicz. 21.XI o godz. 10.15 przemówienie wygłosi p. min. Kożuchowski, Prezes Rady Głównej L. M. i K. Audycja dla Polaków z za granicy w tym dniu zilustruje naszą akcję kolonialną i jej przyczyny. Dn. 22.XI w niedzielę „Gazetka Rolnicza" omówi sprawy kolonialne. Tegoż dnia reportaż z portu gdyńskiego, który przeprowadzi red. Stanisław Zadrożny przedstawi słuchaczom pracę portu towarowego i osobowego. W niedzielę również pogadanka dla wsi omówi osadnictwo zamorskie. Niedzielny szkic literacki p. t. „Przebłyski idei kolonialnej w naszej literaturze" opracował Janusz Stępowski. Na zakończenie audycyj kolonialnych w tym dniu wystąpi z koncertem orkiestra Marynarki Wojennej w Gdyni. 23.XI nadana zostanie pogadanka aktualna p. t. „Walka o surowce". Dn. 24.XI radiowa gazetka dla szkół omówi Dni Kolonialne, zaś pogadanka aktualna z tego dnia p. t. „Polska w roku 1950" przedstawi problem przeludnienia kraju. Dn. 25.XI recytacje prozy z książek o koloniach zakończą tydzień kolonialny w radio.

„Na swojską nutę" Lekka audycja w radio

W sobotę, dn. 21.XI o godz. 19.30 nadaje Rozgłośnia Lwowska na wszystkie stacje Polskiego Radia lekką audycję muzyczną, poświęconą polskiej muzyce ludowej i melodiom ludowym w artystycznym opracowaniu. W audycji weźmie udział laureatka międzynarodowego konkursu wiedeńskiego, Waleria Jędrzejewska, orkiestra mandolinistów „Hejnał" i zespół revellersów „Wesoła Piątka", który śpiewać będzie m. in. pieśni St. Niewiadomskiego. Pieśni te wykonywane po raz pierwszy w układzie na zespół revellersów przez „Wesołą Piątkę" spotkały się z dużem uznaniem przed dwoma laty.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. **PRENUMERATA:** roczna zł. 4.50 Konto wydawcy w P. K. O. 21670.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Marszałkowska 83, tel. 729-40.**

Redaktor Naczelny i odpowiedzialny: **Juliusz Domański.** Wydawca: **Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Ubezp. Społ. w Polsce**

3142 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Okólnik 10. Tel. 644-59 i 592-40.